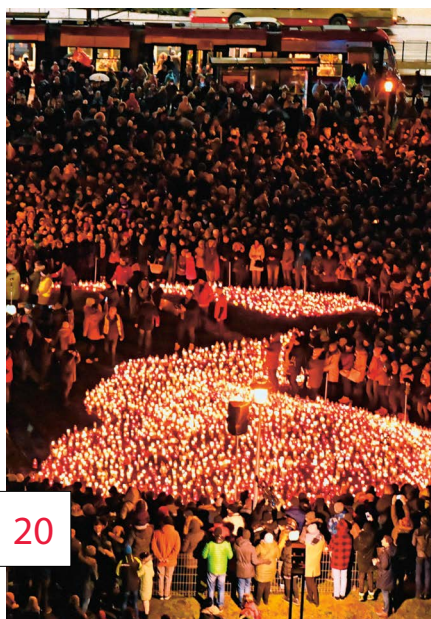
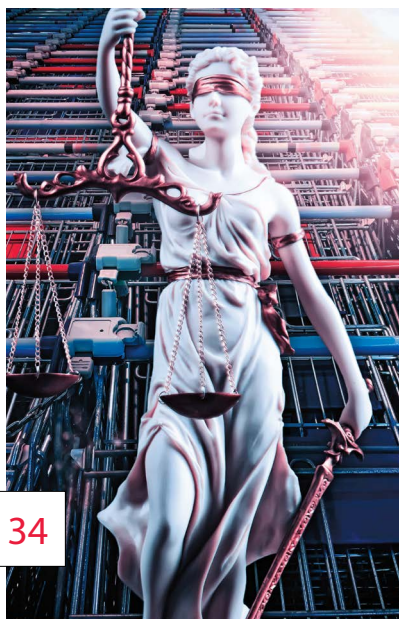




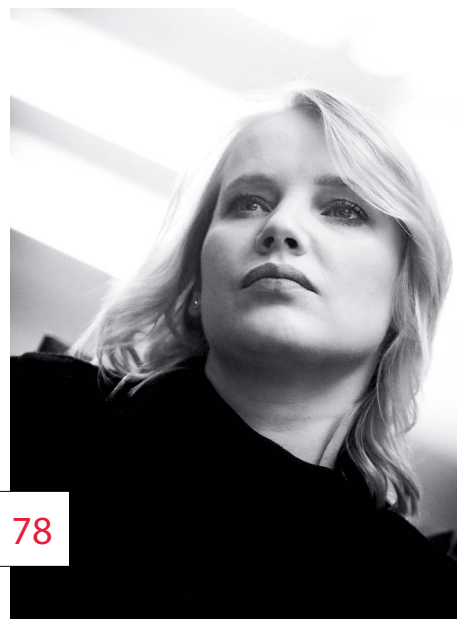
20

Gry na emocjach



34

Klient rzadko pan



78

Joanna Kulig: wszystkie moje role

Tematy tygodnia

- 12 Rafał Kalukin
**Aleksandra Dulciewicz:
konserwatystka
w otwartym mieście**
- 16 Ewa Siedlecka
**Czy da się walczyć
z językiem nienawiści**

Polityka

- 20 Mariusz Janicki
Wiesław Władyka
**„Normalność”
po zamachu**
- 24 ROZMOWA ŻAKOWSKIEGO
Prof. Samuel Issacharoff
**o tym, czy rozliczać
obecną władzę,
jeśli przegra wybory**
- 28 Violetta Krasnowska
**Co się dzieje z komisją
Macierewicza**

Społeczeństwo

- 31 Rozmowa
z **Markiem Gajosem** o tym,
co więzienia wiedzą
o więźniach
- 34 Juliusz Ćwieluch
Tak się kiwa konsumenta
- 37 Grzegorz Lindenberg
**o tym, jak wychować
posłusznego obywatela**

Rynek

- 40 Adam Grzeszak **„Narodowe
czempiony” – czyli kolosy
na glinianych nogach**
- 44 Joanna Solska
Biznes łasi się do władzy

Świat

- 48 Łukasz Wójcik **IRAN
Co dziś napędza islamską
rewolucję**
- 51 Agnieszka Lichnerowicz **USA
Alexandria Ocasio-Cortez:
koszmar amerykańskiej prawicy**
- 54 Zbigniew Rokita **UKRAJNA
Komik na prezydenta?**

Historia

- 56 Piotr Korczyński
Żołnierze zdradzeni w Jałcie
- 59 Adam Balcer **o tym,
czy rzeczywiście byliśmy
przedmurzem chrześcijaństwa**

Nauka

- 62 Rozmowa z prof. Cezarym
Obracht-Prondzyńskim
o złej zmianie w szkolnictwie
wyższym i nauce
- 65 Przemek Berg **Mgławica zachwyca**
- 66 Mirosław Szreder
Rządzą nami liczby

Ludzie i style

- 68 Anna Dąbrowska, Marcin Piątek
**Po co politycy PiS
idą do związków sportowych**
- 71 Michał R. Wiśniewski
Anime w Hollywood?

Kultura

- 78 Joanna Kulig
o aktorstwie
i swoim amerykańskim śnie
- 81 Piotr Sarzyński
**Ranking najlepszych
galerii i muzeów**
- 84 Maciej Jakubowiak
Literatura sanatoryjna
- 86 Mea pulpa
Kuby Wojewódzkiego

Na własne oczy

- 92 Ilona Wiśniewska
Na krańcach Norwegii

Stałe rubryki

- 5 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia
- 47 Przegląd informacji rynkowych
- 74 Afisz • 88 Stomma
- 89 Tym • 90 Passent • 91 Fusy
- 98 Polityka i obyczaj



www.mleczko.pl

GALERIE ANDRZEJA MLECZKI: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14, WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA 140

SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

TVP uderza w nowy ton

Niektóre media stały się tak agresywne, że politycy nie mają już ochoty w nich występować. Niedawno liderzy PO ogłosili bojkot TVP, z kolei wicepremier Gliński musiał przerwać wywiad w radiu RMF, oburzony faktem, że redaktor zadał mu pytanie, co do którego wicepremier się z nim umawiał, że go nie zada. Trzeba uczciwie powiedzieć, że wcześniej Gliński w drodze kompromisu wyraził gotowość odpowiedzi na inne, zaproponowane przez siebie pytanie. Niestety, redaktor nie chciał mu go zadać, dlatego dotknęty do żywego wicepremier stracił cierpliwość i po wypłatach się z opasujących go kabli opuścił studio.

Reakcja Glińskiego była trochę histeryczna, ale uważam, że miał do niej prawo, bo wiadomo, że nikt nie będzie odpowiadał na cudze pytania, jeśli sam może sobie zadać lepsze. Zresztą redaktor RMF sam zaprosił wicepremiera Glińskiego do studia, dlatego fakt, że nie dopuścił go do zadania sobie pytania, na które następnie mógłby sobie wyczerpująco odpowiedzieć, jest moim zdaniem zachowaniem nieeleganckim i mało profesjonalnym.

Dziennikarze TVP są o niebo bardziej profesjonalni, gdyż zadają przedstawicielom władzy wyłącznie właściwe, wcześniej uzgodnione pytania, chociaż przecież nie musieli, bo i tak z góry znają wszystkie odpowiedzi. Mimo to i oni od miesiąca znajdują się w ogniu krytyki z różnych stron. Dotknięty do żywego działaniami TVP jest



nawet prezydent Andrzej Duda, który nie kryje, że oczekuje od tej stacji zasadniczej zmiany tonu. „Ton, który się tam pojawia, po prostu prezydentowi się nie podoba” – wyjaśnił „Rzeczpospolitej” jeden z urzędników jego kancelarii. Szczególne niezadowolenie Dudy wywołał ton, w jakim TVP komentowała jego pomysł referendum konstytucyjnego. Wiele do życzenia pozostawiał również ton „Szopki Noworocznej 2019”, przedstawiającej prezydenta w sposób daleki od tego, w jaki on sam siebie widzi, a wiadomo, że jako Andrzej Duda widzi siebie lepiej niż autorzy „Szopki”, bo robi to codziennie i z bardzo bliska.

Zgadza się, że po męczącym dniu spędzonym w pałacu lub na nartach prezydent Duda ma prawo posłuchać na swój temat czegoś w tonie przyjemnym, zamiast musieć znosić przynębiający i prymitywny ton red. Rachonia czy red. Holeckiej. TVP ze swojej strony zapewnia, że jej dziennikarze są profesjonalistami, dlatego aby nie być posądzonym o tendencyjność, wszystkie informacje odczytują tym samym tonem. Jednak w dowód szacunku dla osoby Andrzeja Dudy prezes Kurski ma podobno zdecydować, aby prezenterzy „Wiadomości” przychylił się do prośby prezydenta i w trakcie odczytywania informacji o jego inicjatywach zmieniali ton i np. mówili cięszym głosem.

Słowa i czyny



Mariusz Janicki

Po dramacie w Gdańsku ważni politycy obozu władzy starają się – z lepszym lub gorszym skutkiem – pokazywać wyciszenie i wzniosły nastrój „zgody narodowej”. Premier Morawiecki ogłosił konieczność dokonania „przełomu”. Mówił niedawno: „uczynmy nasze życie publiczne lepszym, a debatę publiczną (...) mądrzejszą i pełną należytego szacunku do siebie nawzajem”. Prezes Kaczyński na sobotniej konferencji swojej partii mówił, iż „potrzebny jest dialog” i że podział w Polsce jest za głęboki, według lidera PiS „tworzony celowo i w wielkiej mierze sztucznie”.

Wygląda to wszystko jak żart, jeśli zestawimy te słowa z codziennym przekazem podległej obozowi rządzącemu TVP, której zresztą, wraz z publicznym radiem, ma być niedługo przekazane kolejne ponad miliard złotych z państwowej kasy. Pytanie więc, kogo premier Morawiecki chce przekonać do swojej wizji „przełomu” skoro musi wiedzieć, co się dzieje na wizji i fonii mediów publicznych. Kogo ma na myśli Kaczyński, mówiąc o tworzonych celowo podziałach, czy widzi tu jakąś rolę TVP? Propagandę „narodowych” mediów – co prawda najbardziej nieśmiało, jak się da – krytykują już prezydent Duda, szef KRRiT, wicepremier Gowin, inni posłowie i działacze Zjednoczonej Prawicy, ale premier, jak widać, uznaje, że nie ma tematu, a przy okazji skrytykował media prywatne, sugerując, że kojarzą mu się z czasami Jerzego Urbana (czy to aby nie zwiastun powrotu do tematu „repolonizacji”?). Może unika tematu mediów publicznych, ponieważ wie, że i tak o wszystkim w tej kwestii decyduje Kaczyński, ale niewykłuczone, iż wygłasza swoje banały w przekonaniu, że zadziała mechanizm, który od kilku lat przynosi obozowi rządzącemu sukcesy.

Tym mechanizmem jest segmentowe postrzeganie rzeczywistości przez wielu wyborców, także komentatorów, publicystów. PiS niszczy sądy, ale daje 500 plus, zdemolował Trybunał Konstytucyjny, ale obniżył wiek emerytalny. Może zatem i TVP przegina z propagandą, ale za to rząd walczy z mafią watońską.

W takim postrzeganiu polityki wszystko się zrównuje: łamanie konstytucji nie różni się zasadniczo od jej niełamania. Tu plus, tam minus, potem się podsumowuje i wychodzi na to, że nie jest źle, że da się wytrzymać nawet telewizję Jacka Kurskiego. Widzom TVP najwyraźniej nie przeszkadza opinia Jarosława Kaczyńskiego z jednego z zeszłorocznych wywiadów, gdzie powiedział, że „w Polsce za pomocą telewizji można wykreować obraz, jaki się chce, bo społeczeństwo nie analizuje tego, co tam widzi, tylko przyjmuje jako prawdziwe”. Zapewne tak też postrzega Kaczyński istotną część swojego elektoratu. Dla nich, jak można zrozumieć prezesa, TVP jest w sam raz. Nie wiadomo, co bardziej podziwiać: szczerość Kaczyńskiego, czy jego pewność, że nikt za te słowa się nie obrazi.

Z kolei Adam Bielan, istotna postać w obozie władzy, powiedział ostatnio, że „mamy TVN24, które jest bardzo mocno przechylone w jedną stronę, i mamy TVP Info, które jest przechylone w drugą. Dzięki temu mamy równowagę”. Bielan musi wiedzieć, że między przekazami TVN24 a TVP Info nie ma żadnej symetrii, poza tym jedna stacja jest prywatna, a druga – będąc na politycznych usługach jednej partii – jest opłacana z przymusowego abonamentu lub wprost z podatków wszystkich obywateli. Bielana przebił poseł Jacek Sasin, mówiąc, że odwołanie Jacka Kurskiego z funkcji szefa TVP byłoby działaniem „budzącym wątpliwości co do niezależności tych mediów”.

Wydaje się, że ta strategia bezwstydu jest realizowana celowo. Po pierwsze, Jarosław Kaczyński prawdopodobnie uważa, że propagandowe zyski z telewizji publicznej wciąż przeważają nad innymi politycznymi i moralnymi stratami. Po drugie to, w jaki sposób TVP pokazuje przeciwników PiS, jak nimi poniewiera, ma świadczyć o tym, jak pewnie czuje się władza, że nie bierze pod uwagę wyborczej przegranej. To specyficzna demonstracja siły, tupetu, przekonania, że wróg został już trwale pokonany i innego życia nie będzie. Nawet postawa pracowników telewizji publicznej może dowodzić, że nie boją się tego, co z nimi będzie po zmianie władzy, bo tej zmiany nie przewidują. To jest ten dodatkowy, być może podprogowy, komunikat płynący z kolejnych wydań „Wiadomości” czy programów TVP Info. Pole rażenia tej metody może być duże, wykraczające poza twarde elektorat PiS.

Ta metoda ma jednak swoją drugą stronę. Politycy PiS oraz zaprzyjaźnieni z tym ugrupowaniem profesorowie i eksperci mogą jeszcze – przynajmniej w swoim mniemaniu – przekonywać, że w sprawie sądownictwa są różne prawne opinie, że konstytucja może być odmiennie interpretowana, że Sejm mógł wybrać dublerów sędziów Trybunału Konstytucyjnego, bo zaczęła Platforma itd. Ale w żaden sposób nie mogą twierdzić bez narażania się na zupełną kompromitację, że tak wygląda misja telewizji publicznej w demokratycznym kraju. TVP jest jak wodomierz na Bugu we Włodawie – pokazuje dokładnie zawartość demokratycznych reguł w systemie państwa wprowadzanym przez PiS. I nie chodzi już nawet o to, czy propaganda mediów publicznych przyczyniła się konkretnie do zmotywowania Stefana W. do zabójstwa, bo na to nie ma dowodów. Słynne wydanie „Wiadomości” z tematem mowy nienawiści, już po gdańskim zamachu, zwróciło jednak uwagę na sytuację, która trwa od ponad trzech lat.

Dopóki taki stan mediów publicznych się utrzymuje, każde stwierdzenie Morawieckiego czy Kaczyńskiego o konieczności naprawy debaty publicznej będzie nic niewartym pustostwem. „Ręka wyciągnięta do zgody”, z czym PiS się obnosi po zabójstwie prezydenta Adamowicza, jest gestem nieszczerym i bez znaczenia. Od teraz, bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, każda „dobra intencja” partii Kaczyńskiego będzie na bieżąco weryfikowana tym, co pojawi się w wiadomym, „niezależnym”, jak można sądzić ze słów posła Sasina, programie o 19.30.

Jan Koza



© JAN KOZA

Atak na obronę

Informacje, które pojawiły się przy okazji zatrzymania przez CBA Bartłomieja M. i pięciu innych osób, w tym tych z otoczenia Antoniego Macierewicza, nie są zaskoczeniem. O tym, że w PGZ za jego rządów w MON źle się działo, wiadomo co najmniej od dwóch lat. Jeśli coś robi wrzenie, to liczba osób postawionych przed obliczem prokuratora. Jest wśród nich były poseł PiS Mariusz A.K., były członek zarządu PGZ Radosław O. i była wicedyrektor z MON Agnieszka M. Przede wszystkim jednak wszechwładny niegdyś „Misiek”, czyli rzecznik resortu obrony i szef gabinetu politycznego ministra, który wyrzucał z wojska generałów i któremu hołdy oddawali oficerowie. To mocno uderza w Macierewicza.

Pewnym zaskoczeniem jest to, że nadzorowane przez innego wiceprezesa PiS Mariusza Kamińskiego CBA i prokuratura Zbigniewa Ziobry wreszcie zdecydowały się działać. O co chodzi z PGZ, mówił w lipcu zeszłego roku przed sejmową komisją obrony zastępca Kamińskiego Maciej Wąsik. Z jego wypowiedzi wynika, że sprawa zaczęła się od kontroli CBA w PGZ, która trwała aż 10 miesięcy – od września 2016 r. do lipca 2017. To wtedy wyszło na jaw, że

w tej najważniejszej spółce zbrojeniowej, podległej zresztą Macierewiczowi (był ministrem od listopada 2015 r. do stycznia 2018), mogło dojść do wielomilionowych oszustw. Umowy, które zainteresowały śledczych, opiewają na 11 mln zł. Czego dotyczyły, opisał przeciwny frakcji Macierewicza tygodnik „Sieci”. Bliscy Bartłomiejowi M. menedżerowie PGZ mieli podpisywać umowy z firmami powiązany z nim i Mariuszem A.K. Dotyczyły one szkoleń i organizacji eventów, z których część w ogóle się nie odbyła, a koszty zostały zawyżone.

Pod bokiem byłego ministra obrony wykwił korupcyjny układ, którego istnienia co najmniej musiał się domyślać. Ale przecież to, co robił Bartłomiej M. w Polskiej Grupie Zbrojeniowej, to nie jedyne nadużycie, które obciąża konto byłego ministra obrony. Jeśli rzeczywiście w PiS „nie ma świętych krów”, to czekamy na kolejne ustalenia CBA. Choćby te dotyczące umowy, jaką PGZ zawarł na rok z byłym amerykańskim senatorem, obecnie lobbystą mającym kontakty z rosyjską mafią Alfonse d'Amato. W październiku 2016 r. serwis OKO.press ujawnił, że PGZ płacił mu 60 tys. zł miesięcznie plus zwrot kosztów. Oficjalnie d'Amato miał pracować na rzecz polskiej obronności i wspierać szczyt NATO

w Warszawie, nieoficjalnie – otwierać Macierewiczowi zamknięte dla niego drzwi do ważnych polityków w Waszyngtonie.

Warto byłoby przy tej okazji również przesłedzić, jak to rzeczywiście było z zerwaniem kontraktu na francuskie śmigłowce Caracal, które miały być przez Macierewicza zastąpione Black Hawkami. Produkuje je amerykański Lockheed Martin, a więc concern, dla którego lobbował d'Amato. Ciągnać można by właściwie bez końca. Gdyby CBA i prokuratura miały tylko ochotę wziąć pod lupę inne podejrzone sprawy Macierewicza i jego ludzi, pracy miałyby na lata. Ale ochoty wyraźnie brak. Bulwersującą sprawę wtargnięcia do Centrum Eksperckiego Kontrwywiadu NATO prokuratura „wyjaśnia” od trzech lat i końca nie widać. A jednym z tych, którzy pruli wówczas sejfy tej instytucji i – wszystko na to wskazuje, że bezpodstawnie – pomawiali służących w nich oficerów, był właśnie Bartłomiej M.

Dużo zależy teraz od władz PiS i samego prezesa, który nie tylko stał za powołaniem Macierewicza do MON, ale i miesiącami tolerował szkodliwą dla państwa działalność jego i jego ludzi. Wielu z nich do dziś zajmuje wysokie stanowiska.

GRZEGORZ RZECZKOWSKI

KOMENTARZ

Bieda jak w banku

Joanna Soliska



Prawu i Sprawiedliwości szkodzi upór prezesa NBP, broniącego tajemnicy zarobków dwóch bliskich współpracowników. Szkodzi też samemu bankowi centralnemu, gdyż sondaże pokazują gwałtowny spadek zaufania do tej instytucji.

Prezes NBP Adam Glapiński niewiele sobie robi z pomruków niezadowolonych, dochodzących także z Nowogrodzkiej. Więc żeby uspokoić zbulwersowaną opinię publiczną, PiS przedstawił w Sejmie projekt ustawy, która nie tylko uczyni jawnymi apanaże kadry kierowniczej NBP, ale też spowoduje ich drastyczne ograniczenie.

Nikt w banku centralnym nie będzie mógł zarobić, razem z premiami i dodatkami, więcej niż równowartość 60 proc. zarobków prezesa. Projekt nie precyzuje, ile będzie mógł zainkasować sam prezes, ale wygląda na to, że dużo mniej niż dotychczas. Jego wynagrodzenie ma być bowiem ustalane „na podstawie przepisów o wynagradzaniu osób zajmujących kierownicze stanowiska państwowe”. Czyli Glapiński nie będzie miał prawa zarobić więcej niż prezydent Andrzej Duda, który pobiera około 20 tys. zł miesięcznie. To bolesne cięcie, teraz prezes NBP ma bowiem trzy razy więcej, mimo że w obecnie obowiązującej ustawie o NBP jest identyczny

zapis. Jest to możliwe dzięki temu, że łagodzi go inny, również odnoszący się do zarobków, „z uwzględnieniem poziomu płac w sektorze bankowym”. Te zaś w przypadku banków prywatnych sięgają kilkaset tysięcy złotych miesięcznie, a z premiami więcej. Czyli zarobki prezesa NBP w praktyce mogą być sporo większe niż prezydenta. Teraz nie będą mogły, bo tego zapisu już w projekcie nie ma.

PiS strzela do wróbla, czyli dyrektorek departamentu komunikacji po filologii rosyjskiej (które według „Gazety Wyborczej” miesięcznie biorą tyle, co sam prezes), ale ustrzelić może słonia, czyli osoby o bardzo wysokich kompetencjach, które za 12 tys. zł miesięcznie nie będą w NBP pracować. Szybko dostaną o wiele korzystniejsze oferty z sektora prywatnego. Fachowiec z wysokimi kwalifikacjami jest obecnie w cenie, to on dyktuje warunki pracodawcy. Zastąpią go w NBP „misiewiczze”, zadowoleni z etatu, ale bez kompetencji. A to się musi skończyć amatorszczyzną w uprawianiu polityki pieniężnej, co dla ludzi oznaczając będzie rosnącą inflację. Igraszki PiS z bankiem centralnym są więc groźne dla całego społeczeństwa i gospodarki. Dziś nikt nie słucha ostrzeżeń ekonomistów, że inflację rozpętać jest łatwo, ale opanować trudniej, na razie nam przecież nie doskwiera. To się jednak może szybko zmienić.

Im bardziej PiS chce sprawę NBP wyciszyć, tym o niej głośniejsze staje się bowiem częścią afery KNF. Z przecieku z zeznań Marka Chrzanowskiego, byłego szefa komisji, do którego dotarła „GW”, wynika, że zeznał on, iż spotkanie z Leszkiem Czarneckim, na którym zgłosił korupcyjną propozycję, zainicjował Adam Glapiński. Czyli co? Wiedział o łapówce? Na razie nikt przecieku nie zdementował. Chrzanowski wyszedł z aresztu, ale są powody, by przypuszczać, że nie działał sam. Tej afery cięcie zarobków w NBP nie wyciszy.



Talia w rękawie

Zabójstwo prezydenta Gdańska doprowadziło do klasycznej paniki moralnej. Stanu, który zręczni politycy mogą wykorzystać z pożytkiem dla siebie, jeśli zaproponują środki uspokajające.

Wminioną sobotę odbyły się dwa – jak mawiają biegli w polszczyźnie piarowcy – *eventy* polityczne: konwencja PO/KO „Kobieta. Polska. Europa” oraz konferencja klubu PiS, której jedynym sensem politycznym było stworzenie w środkach masowego przekazu przeciwwagi dla *eventu* PO/KO. Dlatego wystąpili na niej: Jarosław Kaczyński, który obwieścił, że Polacy chcą, żeby żyło im się lepiej, oraz premier Morawiecki zapewniający, że już jest byczo dzięki PiS, ale będzie bycej, jeśli naród pozwoli PiS nadal działać. Oba wydarzenia były beztreściwe i nudne, ale jedno w nich uderzyło: poziom agresji symbolicznej pod adresem przeciwników politycznych był zdecydowanie obniżony, wręcz mieścił się w pocziwej zachodnioeuropejskiej normie.

Wydaje się, że obie strony sporu zrozumiały komunikat, który został im po zabójstwie Pawła Adamowicza przekazany przez wszystkie strony podzielonej opinii publicznej: z dotychczasowym poziomem agresji symbolicznej (jedni mówią o „mowie nienawiści”, drudzy – o „przemysle pogardy”, ale ja wolę termin mniej moralnie rozgrzany) naród jako całość czuje się nie najlepiej. Skoro naród zakomunikował, że czuje się nieswojo, to obie strony postanowiły go nie drażnić, żeby się nie narażać.

Użytecznym narzędziem do opisu i wyjaśniania reakcji społecznych na gdańskie zabójstwo jest pojęcie „moralnej paniki”, wprowadzone do socjologii w początkach lat 70. ubiegłego wieku. Chodzi o nagłe rozprzestrzenianie się niepokoju społecznego w społeczeństwach głęboko politycznie lub moralnie podzielonych, często w histerycznych i nerwowych formach, w sytuacji, gdy dochodzi do zdarzenia uznanego za zagrażające istotnym społecznie wartościom.

Panika moralna jest stanem, który zręczni politycy mogą wykorzystać z pożytkiem dla siebie, jeśli zaproponują środki uspokajające. Modelowym wręcz przykładem polityka, który wykorzystał panikę moralną, jest Donald Tusk, który po serii zgonów spowodowanych zażywaniem tzw. dopalaczy w szybkim trybie doprowadził do uchwalenia całkowicie bezużytecznej ustawy antydopalaczowej, co niepokój wyciszyło.

Zabójstwo prezydenta Gdańska doprowadziło do klasycznej paniki moralnej. PiS po pierwszych nieskoordynowanych i nieprzemyślanych reakcjach, takich jak wzbudzające powszechne oburzenie materiały telewizyjnej publicznej, poszedł po rozum do głowy, zapewne powołał jakiś cichy sztab kryzysowy, trafnie zdefiniował sytuację i zagrożenia dla siebie, i – świadomie lub nie – ruszył w ślady Tuska. Postanowił wskazać jako istotną dla możliwości zabójstwa Pawła Adamowicza rzekomą „lukę w prawie”, która miała uniemożliwić skierowanie na przymusowe leczenie psychiatryczne zabójcy prezydenta Gdańska. Ministrowie zdrowia i sprawiedliwości ogłosili, że lukę tę zatkają.

Jest to czyste polityczne picerstwo, co przekonująco udowodniła na swoim blogu Ewa Siedlecka z POLITYKI. Żadnej „luki” nie ma, wystarczy korzystać z tych możliwości, które daje obowiązujące prawo. PiS chodziło nie o lukę, ale o pokazanie, że rząd zdecydowanym działaniem wycisza panikę moralną. Do szczęścia brakowało tylko wciągnięcia w ten proceder opozycji. Dlatego szef Kancelarii Premiera wystosował do szefów sejmowych klubów i kół list z zaproszeniem na spotkanie z Mateuszem

Morawieckim w sprawie zatykania luki, a także dokonania „nowego otwarcia dla jakości debaty w polskiej polityce i życiu publicznym”.

Opozycja nie bardzo mogła to spotkanie zbojkotować, więc na nie poszła. Zawstydzające jest to, że poszła na nie bez żadnej koncepcji i planu politycznego. Przedstawiła żale na prezesa Kurskiego, postulat informacji w Sejmie o stanie śledztwa oraz dopuszczenia do niego pełnomocnika rodziny śp. Pawła Adamowicza, a także życzenie, by prokuratura wszczęła umorzone wcześniej postępowania w sprawach o „mowę nienawiści” i groźby karalne.

Dzięki tej manifestacji bezradności premier Morawiecki mógł po spotkaniu ogłosić: „nie było tak, że zgodziliśmy się we wszystkich sprawach, ale z drugiej strony chcemy podkreślić dobrą atmosferę tego spotkania. (...) Przecież oponent polityczny to nie jest wróg. Trzeba umieć rozmawiać”. No i dzięki PiS zaczęła się po zabójstwie Pawła Adamowicza rozmowa, a nie obrzucanie błotem.

Opozycja musiała pójść na to spotkanie, ale nie musiała go przegrać; mogła je dość łatwo wygrać, gdyby uświadomiła sobie, że polityczną stawką jest wyciszenie paniki moralnej. Sposoby narzucały się same: przygotowany projekt uchwały Sejmu wzywający prokuraturę do wszczęcia śledztw w sprawach, w których wzywano do przestępstw na politykach opozycji („powiesić całe PO”; „złapać i ogolić na tyso”; „wynajmę ukraińskiego cyngla” – wszystko umorzone) oraz przygotowany projekt zmiany w Kodeksie karnym polegającej na ściganiu z urzędu groźb karalnych pod adresem funkcjonariuszy publicznych (obecnie ścigane są na wniosek pokrzywdzonego). Na pytanie: czy takie projekty uzyskają poparcie rządu i klubu PiS, zapytani mogliby odpowiedzieć tylko „tak” lub „nie”. Każda odpowiedź byłaby dla rządzących zła: albo oddawaliby opozycji pierwszeństwo w wyciszaniu paniki moralnej, albo też przeciwstawialiby się jej uspokojeniu. A tak po spotkaniu przewodniczący klubu PO Sławomir Neumann mógł tylko basować premierowi Morawieckiemu: „Spotkanie nie zakończyło się żadnym przełomem, poza tym, że wszyscy uznaliśmy, że chcemy walczyć o dobre przepisy, które na przyszłość będą chroniły Polaków”.

Jak się idzie na spotkanie, na którym gra się w karty o wysoką stawkę, to do rękawa chowa się własną talię: figur na figur mawiał święty Igór. Opozycja poszła z premierem żałośliwie pogawędzić; nie miała nawet błotek, bo uznała, że talia nie będzie jej potrzebna.

W artykule napisanym przed zabójstwem prezydenta Adamowicza Mariusz Janicki w POLITYCE podliczył słupki w sondażach preferencji partyjnych, przepuścił je przez obowiązujący w Polsce system przeliczania wyników głosowania na mandaty i stwierdził, że opozycja „ma PiS na widelcu”. Od razu skojarzyło mi się to z wykładem z „Przepasnych wyżyn” Aleksandra Zinowiewa, w którym ekspert od protokołu dyplomatycznego poucza sowiecką delegację udającą się na Zachód: „Pamiętajcie, żeby kotlet trzymać w prawej ręce, a widelec w lewej”. Rzecz w tym, że tego rodzaju pouczenia można kierować tylko do tych, którzy wiedzą, co to takiego widelec.

KOMENTARZ

Zwiastun
sezonu

Malwina Dziedzic



Kilka dni po tym, jak Andrzej Duda chełpił się, że jeżeli chodzi o politykę i kwestie ideologiczne, wiele go łączy z ultraprawywowym prezydentem Brazylii – wielbicielem wojskowej dyktatury, homofobem, rasistą i mizoginem w jednym – liderki i liderzy Koalicji Obywatelskiej przekonywali, że Polska wcale nie musi się uwstecznić, a propagowany przez władzę patriarchalny model rodziny (POLITYKA 2) jest anachroniczny i trąci naftaliną. Zorganizowana na warszawskim Żeraniu konwencja „Kobieta, Polska, Europa” w dużej mierze była poświęcona sprawom Polek: walce z nierównościami i dyskryminacją, działaniom antyprzemocowym oraz aktywizacji zawodowej i politycznej. Sporo było o miejscu Polski w Unii, jednak najmocniej wybrzmiały odwołania do spuścizny Pawła Adamowicza i deklaracje dotyczące krajowej polityki.

Przemówienie przewodniczącego PO można uznać za *teaser* oferty, z którą formowana przez niego opozycyjna koalicja wyjdzie w nadchodzących kampaniach. Według Grzegorza Schetyny prezentowanie całościowego programu ma sens nie wcześniej niż pół roku przed wyborami – chodzi o element zaskoczenia, ale i o uniemożliwienie konkurentom skopiowania co ciekawszych pomysłów. Dlatego teraz przedstawił tylko zwiastun opowieści o „budowie nowej wspólnoty” i trochę konkretów. W tym obietnice: oddania TVP twórcom i dziennikarzom, zdelegalizowania Młodzieży Wszechpolskiej oraz innych organizacji nawołujących do nienawiści, odbudowania niezależnych instytucji państwowych, wsparcia samotnych matek, a także rozliczenia PiS („Nie będzie ślepej zemsty, ale to nie oznacza bezkarności”). Oprócz tego uczestnicy konwencji (z PO, Inicjatywy Polskiej, KOD, Kongresu Kobiet i samorządów) podpisali „Deklarację styczniową”, w której zobowiązali się m.in. do refundacji antykoncepcji i szczepień HPV, zlikwidowania recept na tzw. pigułek po, przywrócenia dofinansowania in vitro oraz wprowadzenia w szkołach edukacji uwzględniającej także prawa osób LGBT.

Najistotniejsza zapowiedź padła jednak pod koniec wystąpienia Schetyny. W przypadające właśnie 18. urodziny ugrupowania ogłosił, że „Platforma weszła w okres dojrzałości”: koniec więc z myśleniem kategoriami wyłącznie partyjnymi, czas stworzyć „wielki oddolny ruch obywatelski”. Z autorytetami, fachowcami, społecznikami i ludźmi spoza polityki na listach, a docelowo: w Sejmie i w rządzie, bo żaden polityk i „żadna partia nie zmienia Polski sama”. Wśród działaczy perspektywa ustępowania – albo nawet braku – miejsca na listach nie wzbudzi raczej entuzjazmu, ale w szerszym ujęciu to zmyślny ruch. Po pierwsze, Schetyna zabezpiecza się na wypadek fiaska koalicyjnych negocjacji z PSL i SLD oraz prób tworzenia alternatywnej „listy samorządowców” pod patronatem Donalda Tuska (bo i takie krążą plotki). Po drugie, wpisuje się w aktualny trend i sprawia, że Robert Biedroń oraz jego inicjatywa tracą monopol na „oddolność” i „obywatelskość”.

Co ciekawe, choć niezaskakujące, to właśnie Biedroń – który w najbliższy weekend oficjalnie odpali swój projekt – najzgorzalej atakował w mediach społecznościowych uczestników konwencji KO. Jak zauważył portal Polityka w Sieci, nie był to prosty hejt; konta biedroniowców były przygotowane: miały opracowane dane oraz materiały wizualne, w tym zdjęcia pilniczków, które działaczki PO rozdawały w kampanii samorządowej (na konwencji gadżetów nie było). Te zaczepki przyniosły jednak zaskakujący efekt: dużą liczbę negatywnych opinii dotyczących samego atakującego. „Słowa kluczowe komentarzy jednoznacznie wskazują na łączenie Roberta Biedronia z PiS” – piszą autorzy raportu. Najwyraźniej także internauci wytapali to, o czym wprost mówi doradca premiera prof. Waldemar Paruch – inicjatywa Biedronia jest na rękę obecnej władzy. Były prezydent Słupska nie przyciągnie bowiem rzeszy dotąd niegłoszących osób; może zmobilizuje kilka procent nowych wyborców, ale resztę będzie musiał pozyskać z puli PO, SLD, N, Razem i może Kukiza. Wojna podjazdowa po stronie opozycji grozi zaś demobilizacją jej wyborców. Na to i na d’Hondta liczy PiS.

Sobotnia konwencja, do której KO szykowałą się od dwóch miesięcy, pokazała, że Barbara Nowacka nie stała się „papatką Schetyny”, a równościowe hasła można pogodzić z „konserwatywną kotwicą”. Zgrzytem była nieobecność Katarzyny Lubnauer, która wypisała się z Koalicji, nie przyjęła zaproszenia, a w czasie konwencji wśród znajomych na Facebooku szukała kogoś do... układania kostki brukowej. Jak widać, czasem ważniejsze są inne sprawy.

REKLAMA

POBYTY Z ZABIEGAMI

w Ciechocinku „Pod Tężniami”

Leczymy m.in.:

- bóle kręgosłupa i dyskopatie
- bóle mięśni i stawów oraz zmiany przeciążeniowe
- stany po urazach i operacjach ortopedycznych
- schorzenie zwane ostrogą piętową
- łokieć tenisisty i golfisty
- nietrzymanie moczu
- stany po udarach mózgu



KLINIKA UZDROWISKOWA
„Pod Tężniami”
im. Jana Pawła II

Klinika Uzdrowskowa
„Pod Tężniami” im. Jana Pawła II
ul. Warzelnińska 7, 87-720 Ciechocinek

www.podtezniami.pl
Kup książkę

Przyjedź na pobyt leczniczy

Tygodniowe lub dłuższe pobyty w terminie:
03.02-24.02.2019 r. oraz 24.02 - 31.03.2019 r.

posiłki w formie bufetu szwedzkiego •
25 zabiegów na 7 dni pobytu •

tel. **54 416 70 00**



© REUTERS/FORUM

Wenezuela: groza i groteska

Wenezuela ma dwóch prezydentów i dwa parlamenty. W zeszłym tygodniu przewodniczący parlamentu 35-letni **Juan Guaidó** ogłosił się – w oparciu o wątpliwe podstawy prawne – nowym tymczasowym prezydentem kraju. Uznał on, że grudniowe wybory prezydenckie, które ponownie wygrał przywódca tzw. rewolucji boliwariańskiej Nicolas Maduro, zostały sfałszowane. To znaczy: że legalnego prezydenta Wenezuela chwilowo nie posiada, a obowiązki głowy państwa przejmuje w takiej sytuacji przewodniczący parlamentu. Maduro uznał samowolny ruch Guaida za próbę zamachu stanu.

Zagrywka lidera opozycji to powtórka zagrywki jego rywala: dwa lata temu to prezydent Maduro – gdy jego obóz polityczny stracił wpływ na parlament zdominowany przez opozycję – ogłosił nowe wybory do Konstytuanty. Tych ostatnich Maduro nie mógł przegrać ze względu na osobliwą, faworyzującą rządzących ordynację wyborczą.

Świat podzielił się na obrońców Madura i zwolenników Guaida. Rosja, Chiny, Kuba i Boliwia popierają Madura, który nadal twierdzi, że rządzi w interesie ludu i w imieniu najbardziej potrzebujących. Guaida popiera niemal cała Ameryka Łacińska, a przede wszystkim USA. Wszystko wskazuje na to, że Guaidó ogłosił się prezydentem z inspiracji Stanów Zjednoczonych, dla których tonąca w nędzy i chaosie Wenezuela jest ważnym dostawcą ropy. Donald Trump zasugerował, że „wszystkie opcje są na stole”, co odczytuje się jako groźbę nawet interwencji wojskowej USA w karaibskim kraju. Główni gracze w Unii Europejskiej skłonni są poprzeć prezydenta rebelianta. Jednak Bruksela została sobie czas i wezwwała Madura do ogłoszenia nowych wyborów. Które to wezwanie UE odrzuciła.

Wenezuela jest krajem na wpół upadłym. Wielu ludzi nie dojada bądź głoduje. Brakuje podstawowych towarów i lekarstw – z braku tych ostatnich umierają ludzie. Ulicami rządzą pospolic bandyci, od broni palnej ginie rocznie blisko 30 tys. ludzi. Każdego dnia kraj opuszcza 5 tys. obywateli, w ostatnich kilku latach wyemigrowało ich ponad 3 mln. Inflacja w 2018 r. przekroczyła milion (!) procent.

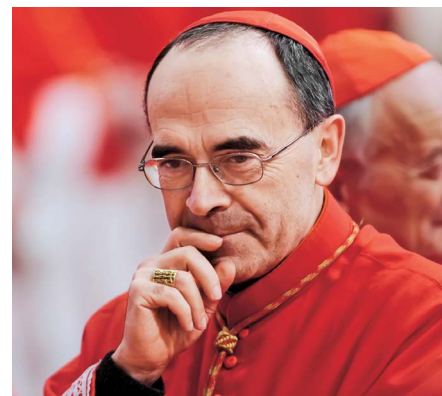
Klucz do rozstrzygnięcia politycznego patu może mieć armia, do której umizgują się obaj prezydenci. Do tej pory dowództwo sił zbrojnych, po licznych czyszczeniach, stało wiernie przy prezydencji Maduro. Jednak w ostatnich latach, a nawet tygodniach, doszło do licznych minirebelii zbuntowanych przeciwko rządowi oficerów i żołnierzy. Guaidó właśnie wydał publicznie rozkaz: „Żołnierzu, rozkazuję ci: nie strzelaj do ludu!”. Coraz częściej padają pytania: czy Wenezuela pogrąży się w wojnie domowej?

ARTUR DOMOSŁAWSKI

Kardynał bez wyroku

Przed sądem w Lyonie zakończył się najgłośniejszy proces w sprawie pedofilii w Kościele we Francji. Oskarżonym był m.in. jeden z najpopularniejszych biskupów francuskich kard. **Philippe Barbarin** (68 lat), arcybiskup Lyonu, prymas Galii, konserwatysta. Dziewięć ofiar pedofila w suttannie, dziś emerytowanego ks. Bernarda Preynata, pozwało kardynała o to, że nie powiadomił odpowiednich władz o przestępstwach seksualnych tego duchownego w latach 70. i 80., kiedy był kapłanem harcerskim. Ofiar mogło być w sumie ok. 100, zgromadzono dokumentację dotyczącą 65. Gdy Barbarin objął diecezję lyońską w 2002 r., spotkał się z Preynatem, który zapewnił go, że od wielu lat nikogo nie krzywdzi. Hierarcha (mianowany kardynałem przez św. Jana Pawła II) mu uwierzył i uznał sprawę za zamkniętą. Watykan doradził mu, by wysłał księdza na emeryturę i starał się uniknąć skandalu.

Gdy sprawa jednak wypłynęła, prokuratura wszczęła postępowanie, ale umorzyła je. Jako powód podała brak silnych dowodów winy i przedawnienie karalności przestępstw, których dotyczyła. Wtedy grupa ofiar wystąpiła z oskarżeniem prywatnym. Liczyli się z ponownym umo-



© EAST NEWS

rzaniem, ale zależało im, by o ich dramatach dowiedziała się szeroka opinia publiczna. Podczas styczniowego procesu opowiadali o nich z drastycznymi szczegółami. Kardynał odrzucił oskarżenie i oddał głos swym adwokatom. Prokuratura rzeczywiście nie wniosła o wymierzenie kary, a sąd zapowiedział ogłoszenie wyroku dopiero w marcu, co w powszechnym odbiorze odebrano jako wiadomość dobrą dla kardynała, któremu grozi kara do 3 lat więzienia i blisko 45 tys. euro grzywny. Papież Franciszek nazwał postawę Barbarina „odważną” i wyraził nadzieję, że francuski sąd wyda wyrok sprawiedliwy. Episkopat Francji powołał komisję do opracowania raportu o pedofilii w tamtejszym Kościele rzymskokatolickim. Polski – ciągle nie.



RPA na godziny

Prezydent Ramaphosa ogłosił wprowadzenie narodowej płacy minimalnej.

Uroczystość odbyła się w Soweto, biedamieście pod Johannesburgiem, słynnym z noblisty arcybiskupa Tutu i walki z apartheidem. Do tej pory płace minimalne obowiązywały w poszczególnych branżach, ale nie były zbyt skrupulatnie

Soweto, ciągle żyje się tu ciężko.

przestrzegane. Teraz na straży minimalnych 20 randów (ok. 5,60 zł) za godzinę stanie specjalna państwowa instytucja kontrolna. Prezydent Cyril Ramaphosa wskazywał, że to historyczny precedens. Czas nie jest przypadkowy: w maju odbędą się wybory, które będą bardzo trudne dla rządzącego od blisko trzech dekad Afrykańskiego Kongresu Narodowego (ANC), historycznej partii Mandeli.

Nie żeby miała przegrać, ale do rządzenia po raz pierwszy może potrzebować koalicjanta – i jest mocno atakowana z lewa i z prawa. Przychodzi czas bilansu osiągnięć odrodzonej „tęczowej RPA” – i nie wypada on korzystnie. Ubiegłoroczny wzrost gospodarczy to ledwie 0,7 proc., bezrobocie – 27 proc.: w 4 z 9 prowincji więcej ludzi nie ma pracy, niż ją ma; szczególnie dramatycznie wygląda to wśród młodych. Do tego skrajne nierówności, również wśród czarnych mieszkańców: z ogólnej biedy wyłoniła się wąska klasa średnia i warstwa bogaczy, której eminentnym przedstawicielem jest sam Ramaphosa, dawny działacz związkowy, dziś miliarder. Sytuacja nawet się pogorszyła: 40 proc. społeczeństwa żyje poniżej progu ubóstwa (w 2015 r. było to 36,1 proc.). Biali zarabiają średnio 10 tys. randów, czarni i kolorowi (stosując dawny trójwarstwowy podział) – 2,8 tys. Nie takie były obietnice.

Aby rozładować rosnące napięcia, Ramaphosa, który drogą puczu zastąpił niedawno niepopularnego kleptokratę i poligamistę Jakuba Zumę, rzucił hasło przejmowania ziemi (białych farmerów) bez odszkodowań. Dystrybucja ziemi to kolejne wielkie niespełnienie nowej RPA, która jednak dotąd szanowała prywatną własność. I to miałoby wkrótce wyparować z mitu Mandeli?

REKLAMA



Zawieja w Davos

Bez Trumpa, Xi Jinpinga, Putina, Macrona i May to nie to Davos, co dawniej. Debiutował za to brazylijski populiści Jair Bolsonaro, który obiecywał złote góry i namawiał do inwestowania. 49. Światowe Forum Ekonomiczne, z udziałem 3 tys. ważnych osób, było takie jak pogoda: mroźne i wietrzne. PricewaterhouseCoopers tradycyjnie przygotował prognozę nastrojów, sporządzoną zbiorowo przez 1,3 tys. tuzów biznesu: okazało się, że u progu 2019 r. mamy 29 proc. pesymistów co do perspektywy światowej gospodarki; rok temu było ich 5 proc. A takie prognozy zwykle same się spełniają. Nastroje zaczęły siadać w połowie ub.r., wraz z wyraźnym spowolnieniem gospodarki Chin. Przewidywane 6,5 proc. wzrostu w 2019 r.,

najmniej od 30 lat, spadki kwartał po kwartale, najniższa sprzedaż nowych samochodów, zastój na rynku nieruchomości, korekta zysków Apple na skutek chińskiego zastój – wszystkie te doniesienia z Państwa Środka działają jak zimny prysznic. Międzynarodowy Fundusz Walutowy, przewidujący na ten rok światowy rozwój na poziomie 3,5 proc. (w zeszłym było 3,7), kreśli cztery czarne scenariusze: twardy brexit, sukces eurosceptyków w majowych wyborach, włoski kryzys bankowy oraz światowe zawirowanie spowodowane chińskim spowolnieniem. A za jedno z największych światowych zagrożeń uznaje napięcia handlowe, z wojną USA-Chiny na czele. „Slowbalisation” – zatytułował swoją okładkę „Economist”. Azja ma kłopot, gdzie inwestować, a Europa Zachodnia obawia się dalszej erupcji populizmu.

Na forach i zwłaszcza w kulisach toczyły się spory, czy już jesteśmy u progu recesji, czy dopiero zmierzamy ku niej szybkimi krokami. Nieco ponad 10 lat po wielkim kryzysie w Davos zapachniało kolejnym. Z nowszych tematów zajmowano się wyścigiem o prym w dziedzinie sztucznej inteligencji, gdzie USA wydają się przegrywać z Chinami. Premier Shinzo Abe zapowiedział, że Japonia proponuje światowe regulacje w kwestii wykorzystania danych. Biadło też powszechnie nad zmianami klimatycznymi, choć bardziej w teorii niż praktyce. W tym roku Davos odnotowało rekordowe 1,5 tys. prywatnych samolotów, które przywoziły uczestników, a limuzyny z wielkimi silnikami woziły wszystkich od drzwi do drzwi. Dla dobra planety.

Prywatna Klinika Rehabilitacyjna
CHOROBY KRĘGOSŁUPA,
NARZĄDÓW RUCHU I GŁOWY
Krojanthy – Dwór k. Chojnic
tel. (052) 398-56-56
fax. (052) 398-56-06
www.krojanthy.com.pl
klinika@krojanthy.com.pl

LECZYMY:

■ **rwę kulszową, wypadnięcia dysków, chroniczne zespoły bólowe kręgosłupa i głowy, powikłania choroby zwyrodnieniowej kręgosłupa, następstwa i powikłania urazów układu kostnego, więzadeł i stawów, migrenowe bóle głowy**

PROWADZIMY REHABILITACJĘ:

■ **po wylewach, po operacjach ortopedycznych, po złamaniach**



ZRÓB PREZENT
SWOIM RODZICOM!
Pobyty 5, 10 lub 21 dni

Następczyni

Brakuje jej może wizjonerskiej śmiałości Pawła Adamowicza, ale za to jest twarda i bardzo zdecydowana.

Aleksandra Dulciewicz dziedziczy po swoim szefie ten sam paradoks. Jak rządzić miastem otwartym i pozostać konserwatystą?

RAFAŁ KALUKIN

W

ejście do magistratu zdobią kwiaty i zdjęcia zamordowanego prezydenta. Paweł Adamowicz kwestuje z puszką WOŚP. Pod tęczowymi balonikami. Z Lechem Wałęsą. W historycznym gdańskim stroju i we fraku. Na budowie i na rowerze. Pogodnie uśmiechnięty albo wyborczo triumfujący. Uwiecznione w kadrach dwie dekady życia, które właśnie stają się nowym gdańskim mitem.

Piątkowy ranek, 12. dzień po śmierci prezydenta. Aleksandra Dulciewicz wyznaje, że dopiero teraz zaczyna do niej docierać, co tak naprawdę się stało. Także w jej życiu. Już teraz pełni obowiązki prezydenta. Za nieco ponad miesiąc zapewne zostanie pełnoprawnym prezydentem półmilionowego miasta. Duże partie nie wystawią swoich kandydatów. Natomiast deklarujący start kandydaci „egzotyczni” – m.in. Grzegorz Braun i Piotr Walentynowicz – nie są dla niej poważną konkurencją.

Ciężar obowiązku poczuła już, gdy przyszło jej po raz pierwszy założyć ozdobny łańcuch z insygniami władzy. Na przestrzeni pięciu ostatnich kadencji niemalże wrósł w pierś Adamowicza. Kojarzył się z prezydentem niemal tak, jak maciejówka z Marszałkiem.

1 Tamtej niedzieli Dulciewicz nie była na Targu Węglowym, skąd światełko Orkiestry miało wystrzelić do nieba. Wybrała wieczorną mszę, którą dominikanie odprawiali w kościele św. Katarzyny. Zazwyczaj przy takich okazjach wycisza dźwięk w telefonie. Tym razem, bez wyraźnej przyczyny, wcisnęła tryb samolotowy. Odcinając możliwość jakiegokolwiek z nią komunikacji. Dochodziła 18.30.

Po godzinie, wychodząc z kościoła, odblokowała urządzenie, które niemal natychmiast zaczęło wibrować. Jedno po drugim spływały komunikaty o próbach połączenia. Jako pierwszy dozwonił się wieloletni przyjaciel, jeszcze z Młodych Konserwatystów.

– Ola, ty nic nie wiesz? Prezydenta pchnięto nożem, on chyba umiera.

– Jak to umiera? Co ty wygadujesz?

– Przez pół godziny go na ulicy reanimowali, teraz jadą na operację.

Oficjalne komunikaty lekarskie dawały złudną nadzieję. Ale kto tamtej nocy czekał pod salą operacyjną, ten wiedział, że prezydenta może uratować tylko cud. Tymczasem miasto musiało wydać jakiś komunikat. Kto weźmie na siebie ciężar poprowadzenia konferencji w tak dramatycznej chwili? W grę mogli wchodzić tylko wiceprezydenci Aleksandra Dulkiwicz i Piotr Grzelak. Wychowankowie Adamowicza, najbliżsi współpracownicy, potencjalni następcy.

Dlaczego padło na Olę? Słysząc różne interpretacje. Bo w nieformalnej hierarchii mimo wszystko stała ciut nad Piotrem i te centymetry w autorytecie okazały się decydujące. Bo w takich sytuacjach kobieca empatia jest na wagę złota. Oboje byli rozbici po nocy na szpitalnym korytarzu, ale jej mimo wszystko chyba łatwiej było się pozbierać. Choć i tak głos jej się załamywał.

Być może pomogło wtedy Dulkiwicz równie tragiczne doświadczenie sprzed wielu lat. W kwietniu 2002 r. nagle umarł jej ojciec Zbigniew. Wylew, którego nikt się nie spodziewał. Wszyscy w rodzinie byli sparaliżowani. Ola, którą wieść o nieszczęściu zastała w Krakowie, okazała się najtwardsza i po powrocie do Gdańska wzięła sprawy w swoje ręce. Miała wtedy 23 lata.

Zbigniew Dulkiwicz był jednym z twórców samorządu w województwie gdańskim. Wcześniej działał w opozycyjnym Ruchu Młodej Polski. Lider RMP Aleksander Hall doskonale pamięta pogrzeb. Sam wygłosił wtedy mowę pożegnalną podczas mszy celebrowanej przez o. Ludwika Wiśniewskiego. Po Hallu przemawiał rozbity i szlochający Adamowicz. A na koniec Ola. – *Doskonale panowała nad głosem, własnymi emocjami, to było niezwykle dojrzałe wystąpienie jak na tak młodą dziewczynę. Oho, pomyślałem sobie, ujawniła nam się silna osobowość* – wspomina Hall.

2 Kontekst środowiskowy i pokoleniowy jest tu istotny. Inaczej trudno będzie pojąć fenomen gdańskiego konserwatyzmu. Każdy wie, że na Wybrzeżu zaczęła się Solidarność. Większość, że stąd wyszli też później gdańscy liberałowie. Ale paradoksalnie ani Wałęsa, ani też Tusk – czy to osobiście, czy za pośrednictwem swoich środowisk – nigdy nie wpływali na życie polityczne w samym Gdańsku w takim stopniu, jak dawni konserwatywni młodopolacy i ich spadkobiercy.

Zawsze byli odrębni, choć przeważnie doskwierał im brak własnego adresu na scenie partyjnej. Naprawdę u siebie czuli się tylko w dziś już zapomnianym Stronnictwie Konserwatywno-Ludowym (wchodzącym w skład AWS). Później już ścieśniali się na stopniowo marniejącym prawym skrzydle PO. Aż okopali się w swoich miastach, zawieszając ambicje zamieszania w polityce krajowej. Dominując w nich od dwóch dekad. To oczywiście głównie przypadek Pawła Adamowicza oraz równie długo rządzącego Sopotem Jacka Karnowskiego.

Obaj urodzeni w połowie lat 60. reprezentowali drugą falę RMP. Bo pierwsza to przede wszystkim Aleksander Hall, Arkadiusz Rybicki (zginął w Smoleńsku) i Grzegorz Grzelak (ojciec Piotra). Od nich zaczęło się niegdyś środowisko, które przez lata 70. rozrastało się i krystalizowało ideowo. Wtedy dołączyli m.in. Izabella i Zbigniew Dulkiwiczowie. Natomiast trzecia gdańska fala weszła w życie publiczne już po 1989 r., kiedy dawne RMP tworzyło głównie wspólnotę nostalgiczną. To pokolenie formowało się w Młodych Konserwatystach.

Organizował tę młodzieżówkę i kierował nią przez dekadę Jacek Bendykowski. Gdańszczanin, rocznik 67., kiedyś młodopolak. W latach 80. często wpadał do Dulkiwiczów, gdzie środowisko lubiło się zbierać. Opowiada: – *Pilo się wódkę, ale nie upijano, za to gadaliśmy o ważnych sprawach. Kilkuletnia Ola tego wszystkiego słuchała, wchłaniając tę miksturę życia towarzyskiego i politycznego. Gdy dorosła, Zbyszek Dulkiwicz przechodził do mnie i pytał: no to kiedy mogę oddać Olę do terminu?*

Pierwsze odpowiedzialne zadanie dostała przy organizacji kongresu międzynarodówki European Young Conservatives. Na ten cel jedna z brytyjskich fundacji przyznała 6 tys. funtów dotacji. W połowie lat 90. była to spora suma. W dodatku pieniądze przyszły w kopercie i trzeba było iść z nimi do kantoru. Padło na kilkunastoletnią Olę, bo właśnie zrobiła prawo jazdy, a rodzice chętnie pożyczali jej auto. Zjeżdżała całe sopockie zagłębienie handlarzy walutą, szukając najlepszego kursu. A była to czas, gdy panoszyły się gangi i standardy bezpieczeństwa nie były zbyt wyśrubowane.

Już w liceum była, wedle oficjalnej terminologii, prezydentem szkolnego samorządu. W Młodych Konserwatystach od razu zaczęto na nią mówić „pani dyrektor”. Co zresztą mieściło się w środowiskowej manierze używania przesadnie grzecznościowych formuł. Trochę to było ironiczne, ale też akcentowało poważny stosunek do tradycyjnych norm w relacjach międzyludzkich. Młodzi Konserwatyści bywali nieco sztywni, traktowali się bardzo serio. Thatcherowski konserwatyzm mieszał się tu z polskim antykomunizmem. Religijność była ważna, ale rozumiana po dominikańsku, a nie radiomaryjnemu. Znajdowali się gdzieś na styku tradycjonalizmu i nowoczesności.

Dopóki w Polsce nie nastał głęboki podział kulturowy, mogli funkcjonować jako integralne środowisko polityczne. Potem trzeba było jednak wybierać. Przez ogólnopolskie struktury MK przewinęli się ważni potem politycy PiS, m.in. Patryk Jaki, Bartosz Kownacki, Adam Bielan, Stanisław Pięta. Ale najsilniejszy wtedy krąg trójmiejski wybrał „Polskę liberalną”, co nawet i dziś rodzi rozmaite paradoksy. Przykładem Jacek Bendykowski, do niedawna szef klubu radnych PO w sejmiku pomorskim. Z jednej strony wielki entuzjasta polityki otwartego Gdańska Pawła Adamowicza (byli zresztą przyjaciółmi). Z drugiej – ideowy konserwatysta, deklarujący się jako fundamentalny przeciwnik oświeceniowej idei postępu społecznego.

3 W znacznej mierze to jednak Paweł Adamowicz przecierał szlaki postępu. Nie tyle odchodził od swego konserwatyzmu, co wzbogacał go o nowe wrażliwości. Często za sprawą ludzi w swoim otoczeniu, których świadomie szukał również poza własnym środowiskiem. Takich jak lewicujący poeta Antoni Pawlak albo dawny gdański liberał Wojciech Duda.

Symbolem ewolucji Adamowicza stał się przyjęty w ubiegłym roku „Model na rzecz równego traktowania”. Przez progresywne środowiska w całej Polsce entuzjastycznie odebrany jako prekursorski dla lokalnej integracji społeczności LGBT oraz imigrantów. Co zresztą w otoczeniu Adamowicza wywołuje irytację, gdyż nikt tutaj nie zamierza wznosić ideologicznych sztandarów lewicy, a cały projekt został pomyślany znacznie szerzej.

– *W tematach progresywnych dojrzeвам wolniej od Pawła* – przyznaje nowa prezydent. Wspomina naradę w magistracie, na której po raz pierwszy referowano założenia modelu. Po miesiącu miał trafić pod obrady Rady Miasta. Dulkiwicz: – *Brzmiało to abstrakcyjnie i chyba nikt z nas nie miał do tego serca. Powiedziała szefowi, że nie możemy z tym iść na radę, jeśli sami nie mamy przekonania. Wymyśliliśmy, że zrobimy kilka dodatkowych spotkań, na które zaprosimy adresatów projektu. Prawdziwą seniorkę, osobę na wózku, innego wyznania, obcokrajowca, homoseksualistę. Oni opowiadali, jak im się żyje w Gdańsku, z czym muszą się zderzać. I dopiero wtedy cały projekt nabrał sensu!* ►

► Problem w tym, że choć stał się symboliczny, to nadal pozostaje jedynie modelem. Wciąż czekającym na realizację. Sprzyjający Dulkiewicz trochę się więc obawiają, że – jak to w życiu – gdzieś zgryźnie, coś się nie powiedzie. A ludzie wtedy powiedzą, że następczyni wielkiego Adamowicza jednak nie dorosła do jego wielkiej wizji.

Choć mimo wszystko w jej otoczeniu przeważają optymiści. Mówią, że jest przygotowana do wzięcia odpowiedzialności. Ma dobre faktyzowanie (skończyła prawo), biegle mówi po angielsku, jest w odpowiednim wieku (w tym roku skończy 40 lat). Gdańsk zna jak mało kto. Opukała miasto od każdej strony. Najpierw jako asystentka Adamowicza. Potem jako szefowa biura ds. Euro 2012. Prowadziła wtedy trudne rozmowy z UEFA w sprawie budowy okazałego stadionu. Następnie przeszła do Europejskiego Centrum Solidarności. Formalnie kierowała biurem prasowym, faktycznie należała do strategicznego sztabu projektującego założenia powstającej instytucji.

W 2010 r. po raz pierwszy została radną. Cztery lata później stanęła na czele klubu Platformy. W całej kadencji nie opuściła ani jednego posiedzenia rady ani komisji. Kierowała komisją zagospodarowania przestrzennego oraz zespołem ds. miejskiego programu in vitro. Tocząc dzikie boje z opozycyjnym PiS, sprawdziła się w polemicznych starciach.

W 2017 r. Adamowicz po raz pierwszy wskazał ją jako ewentualną sukcesorkę. To na wypadek, gdyby PiS wprowadziło działającą wstecz dwukadencyjność i należałoby szukać nowej kandydatury. Na półmetku kadencji powołał Dulkiewicz na stanowisko wiceprezidenta. I to ważnego, gdyż odpowiadającego za politykę gospodarczą. Ostatniej jesieni kierowała jego kampanią. Najtrudniejszą od lat, gdyż po zerwaniu z Platformą Adamowicz musiał walczyć na dwa fronty z Jarosławem Wałęsą (PO) oraz Kacprem Płażyńskim (PiS). Przy okazji sama została wtedy zawieszona w prawach członka PO.

To niemal wzorcowy model kariery funkcjonariusza publicznego. Zwłaszcza w epoce „misiewiczów” i „aniołków Głapińskiego”. Choć wbrew pozorom relacja Dulkiewicz z Adamowiczem wcale nie była bezkonfliktowa. Gdy ponad dekadę temu przechodziła do ECS, była w tym chęć uwolnienia się od patrona. Wróciła wtedy z urlopu macierzyńskiego i krytycznym okiem oceniała sprawy w urzędzie. Również później, gdy współpraca została wznowiona, dochodziło do kryzysów. Ostatni, co dziś wydaje się niepojęte, miał miejsce w grudniu.

4 Teraz w dobrym tonie jest podkreślać jej twardość. Być może dlatego, że w towarzyskich relacjach trudno tę cechę charakteru dojrzeć. Uprzejma, kulturalna i dbająca, aby nikogo nie urazić. W publicznych wystąpieniach też nie jest drapieżką. Owa twardość ma się więc wyrażać w wewnętrznych relacjach opartych na służbowej zależności. Niektórzy wręcz mówią o z lekką autorytarnych skłonnościach Dulkiewicz.

W urzędzie już nie była „panią dyrektor”. Teraz mówiono już o niej, nadal nieco ironicznie, „pani premier”. Choć trzeba przyznać, że miała sporo racji, bo w tamtym czasie polityka kadrowa w magistracie naprawdę kulała. A prezydent zawsze miał problem z podejmowaniem trudnych decyzji, brakowało mu asertywności, często chował się za współpracowników. Z drugiej strony był bardziej kreatywny, wymyślał śmiało wizje. Dlatego tak świetnie się potem uzupełniali z „twardą” Dulkiewicz i wzorcowo sumiennym Grzelakiem.

– Nie jestem Pawłem Adamowiczem – zapewnia jego sukcesorka. Choć zapowiada, że do przedterminowych wyborów

pójdzie z programem poprzednika z ostatnich wyborów. Największy nacisk położono na inwestycje poprawiające jakość życia mieszkańców: nowe żłobki, przedszkola, baseny.

Z drugiej strony Dulkiewicz zgłasza ambicję podjęcia ostatniego wielkiego *idee fixe* Adamowicza, czyli Muzeum Gdańska. Spektakularnej placówki ukazującej wielowątkowe dzieje miasta i jego kulturowe bogactwo. Nawet jeśli po wielkich inwestycjach ECS i Muzeum II Wojny Światowej wyczuwalny jest już przesyt monumentalizmem historycznym. Ale może to jest właśnie szansa na pozostawienie po sobie czegoś własnego?

5 „Testament Adamowicza” odmieniany jest teraz przez wszystkie przypadki. Jak go rozumieć? Dulkiewicz: – Po pierwsze, otwartość na drugiego człowieka. W takim elementarnym, ludzkim sensie. Uśmiech, wyciągnięta ręka. Po drugie, przyjazne miasto, oferujące dobrą jakość życia. A przy tym otwarte, chcemy przyciągać nowych mieszkańców. Po trzecie, polityka. Pragniemy zorganizować w Gdańsku centralne obchody rocznicy wyborów 4 czerwca.

Z jednej strony mowa o ważnych gościach. Z drugiej – o oddolnym i obywatelskim uczestnictwie. To będzie test nowej prezydentury. Szansa na wyjście z cienia poprzednika, zaznaczenie autonomii. I można odnieść wrażenie, że ta sprawa pochłania Dulkiewicz znacznie mocniej niż bieżące polityczne układanki.

Owszem, ogłaszając w ubiegłym tygodniu swój start w przedterminowych wyborach (3 marca) z ramienia komitetu Wszystko dla Gdańska, ucięła w zarodku starania Platformy o jej powrót do partii. Na to nie było szans; zbyt wiele napięć pomiędzy Adamowiczem i PO napsuło ostatnio krwi. A jak przyjmuje publiczne awanse czynione jej ostatnio przez Donalda Tuska? O jego ewentualnej inicjatywie politycznej nie chce się wypowiadać. I chyba nawet faktycznie na razie o tym nie myśli.

Angażując się w wielką politykę, może zostać zinstrumentalizowana. Zwłaszcza mając na uwadze kiepskie zrozumienie lokalnego kontekstu Gdańska. Miasta specyficznie otwartego. Raczej nie chciałaby na przykład zostać feministyczną ikoną „kobiety w polityce”. Mówiła kiedyś: „Bliższe jest mi mówienie o prawach człowieka niż tylko o prawach kobiet”. A przy tym zawsze podkreśla swą religijność, bliskie więzy z Kościołem. Co z drugiej strony nie oznacza, że będzie spełniała wszystkie zachcianki niezbyt w Gdańsku popularnego abp. Leszka Głódzia.

Zresztą jak tylko skończy się żałoba, powróci problem ks. Henryka Jankowskiego. Honorowego obywatela miasta, patrona skweru i postaci uwiecznionej pomnikiem. Co wywołuje ogromne emocje, gdyż aktywiści lewicowi chcieliby już teraz obalać monument, zaś prawicowi – ostentacyjnie dekorują go kwiatami.

Dulkiewicz uważnie dobiera słowa. Przypadki molestowania dzieci przez prałata powinna zbadać komisja kościelna, miasto nie ma tutaj narzędzi. Ale honorowe obywatelstwo należy wkrótce odebrać. Kwestia skweru jest otwarta, na razie zlecono ekspertyzy historyczne. Pomnik? Niestety jest obiektem prywatnym, co komplikuje sprawę. Dulkiewicz: – Nie jestem jego entuzjastką i uważam, że należy go przenieść w inne miejsce. Ale nie dopuszczę, aby rewolucyjnie obalano prałata jak kiedyś Lenina czy Dzierżyńskiego. Są standardy cywilizacyjne, które trzeba chronić.

Mimo wszystko Aleksandra Dulkiewicz jest przecież gdańską konserwatystką.

RAFAŁ KALUKIN

Dulkiewicz ogłaszając swój start w wyborach z ramienia komitetu Wszystko dla Gdańska, ucięła starania Platformy o jej powrót do partii.

